

TARAS SZEWCZENKO

(1814—1861)

PUSTKA

Rankiem, rano, garstka chłopów  
Ze wsi wychodziła;  
Wśląd za nimi, ręce łamiąc,  
Dziewczyna pędziła.  
Powlokła się matka siwa,  
Od miłego ją odrywa —  
Odrywała, utulała,  
Aż ją w ziemię zakopała  
I z torbami w świat ruszyła.

Wioska stoi — nie urosła,  
Mało się zmieniła;  
Pustka tylko w końcu siola  
Na bok się schyliła.  
Poprzed pustką, tam, o kuli  
Żołnierz biedny dybie  
I zagłada do ogródka,  
I przyłgnął ku szybie...

Patrzy, patrzy — ach, nie wyjdzie  
Czarnobrewka z chatki,  
Nie zaprosi na wieczerzę  
Głos pocziwej matki!...  
A on niegdyś był proszony,  
Ręczniki już tkano  
jedwabiem chustkę ślubną  
Pięknie wyszywano.  
Roil prześnić wiek w miłości,  
Uczyć dziatki stapać —  
A tu przyszło, biednyż ty mój,  
We łzach się wykapąć!...

Siedzi żołnierz w zmrok przed chatą  
I śmierci pożąda —  
A przez okno, nakształt baby,  
Sowa nań spogląda.

*Tłum. Leonard Sowiński.*

JAK DZISIAJ WIDZĘ...

Jak dzisiaj widzę... Nad ruczajem,  
Wieńczona zewsząd wierzb in gajem,  
Bieleje chata. Nad nią wzgórze.  
Na przyźbie chaty siwy dziad,  
Staruszek, wsparty na kosturze,  
Małego wnuka bawi rad.  
I widzę: wyszła z izby matka,  
Całuje dziecię swe i dziadka,  
Wesoło trzykroć ich uściska;  
Z uśmiechem mówiąc: «glodne snać»...

Na usta dziecka z piersi tryska  
I potem je odnosi spać.  
A dziad do siebie się uśmiecha  
I, sapiąc jeszcze, niby z miecha,  
Powiada cicho: «Gdzież te trwogi?  
Te liczne ciosy, troski, wrogi?»...  
W wierzbowym gaju zachód płonie...  
Dzień cicho gaśnie w nocy łonie...  
Spoczęło wszystko — ludzie — światy —  
I starzec poszedł spać do chaty.

W TRZYNASTE LATO...

W trzynaste lato szło mi życie,  
Gdym pasał owce wedle wsi.  
Czy Bóg sam jaśniał w nieba szczycie,  
Czy jam śnił szczęścia cud w zachwycie,  
Jak tylko dusza dziecka śni —  
Tak błogo było mi w te dni,  
Jak gdybym pasał trzodę Boga.

Zwołują już i na południe,  
A ja w burzanach, paląc chróst,  
O domu Boga marzę cudnie...  
Zwidują mi się raje złudnie,  
Modlitwa sama płynie z ust!  
Igrają owce pośród brózd,  
Łagodnie świeci oko Boga...

Czy z piekieł trysła struga wrząca,  
 By prędko zwarzyć ten mój raj,  
 Czy też jarząca żagiew słońca  
 Spaliła rajski sen bez końca —  
 Szerniało sioło, step i gaj,  
 Zbladł nawet niebios siny kraj,  
 I już nie śniłem chwały Boga!

Spojrzałem. Owce, welny wiechy —  
 A ja ni owcy nie mam tam...  
 Posłałem wzrok na złote strzechy —  
 Bóg nie dał piędy, jak za grzechy...  
 W calutkim świecie jestem sam...  
 Zalkałem, myśląc o tem... Łkam  
 I na głos żalę się na Boga...

A tam, przy drodze gdzieś, dziewczyna,  
 Ukryta pośród smukłych traw,  
 Konopie czy też len dożywa,  
 Pod sierp ostatnią naręcz zgina,  
 A kładąc suszyć ją nad staw,  
 Płynącą skądś z burzanów ław  
 Zasłyszy skargę mą na Boga.

Podeszła do mnie uśmiechnięta,  
 Jak ten na łanie maku kwiat.  
 Całuje w usta... Pachnie miętą...  
 Dziewczyna zgania me jagnięta —  
 Choć one cudze, patrzę rad  
 I myślę: «mój ten cały świat»...  
 I w sobie samym czuję Boga.

Dzieciństwa!.. Jednak, kiedy wspomnę,  
 To taki mię ogarnia smęt,  
 Że ja, pacholę to bezdomne,  
 Nie orzę dzisiaj skiby skromnej,  
 Że nie umarłem jako pęd —  
 Nie znając chimerycznych pęt  
 I nie przekląwszy ludzi, Boga...

#### TOĆ NIE DLA LUDZI...

Toć nie dla ludzi, nie dla sławy  
 Mój wiersz wzorzysty — i chropawy;  
 Wszak sława, bracia, jest jak dym —  
 Dla siebie wiązę z rymem rym!  
 Gdy tworzę wiersze te w niewoli,  
 To jakoś lżej mię dusza boli:  
 Ojczyste słowo — cud i czar  
 Wśród tych niemiłych cudzych gwar;  
 Z za Dniepru dźwięk za dźwiękiem leci,  
 Jak dziwny rój skrzydlatych dzieci,  
 A gdy ich głośny płacz i śmiech  
 Rozbrzmiewać pocznie w tysiąc ech

Dziewczyna drgnie... Jej dusza biała  
 Pomyśli: «Jam je ukochała!»

W zatęchłych mrokach kazamaty —  
 To wiem, zem rodzić ich bogaty!  
 I błagam: broń ich mocny Bóg,  
 By ich nie uspił tutaj wróg;  
 Niech lecą z wieścią stąd, o świecie,  
 Za Dniepr: jak ciężko przeżyć życie!..  
 Tam bezmiar naszych pól i łąk  
 Przywita lotnych dzieci ciąg.  
 Przyjmując je w rodzinnem kole,  
 Co zbożnie zbierze się przy stole,  
 Pokiwa głową ojciec, dziad,  
 A matka westchnie: «Gorzki świat»...

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### PANICZE, GDYBYŚCIE ZOCZYLI...

Panicze, gdybyście zoczyli  
 Kraj, w którym ucisk władza zły,  
 Wždy-byście hymnów nie tworzyli  
 I próżno Boga nie chwalili,  
 Pośmiechem darząc nasze lzy.  
 Ja nie wiem, czemu nazywają  
 Chałupę w boru cichym rajem.  
 Jam niegdyś cierpiał w chacie tej —  
 Tam rzewne lzy młodości mej,  
 Najpierwsze lzy! Pytania wstają:  
 Czy jest gdzie takie zło i srom,  
 Coby minęło chłopski dom?

A chatę rajem nazywają!  
 Nie, ja nie mogę nazwać rajem  
 Owej chałupy tam, pod gajem,  
 Nad siwą wodą z kraju wsie:  
 Matula tam powiła mnie,  
 A spowijając mię, śpiewała,  
 Tęsknotę swoją przelewała  
 W dziecięcą duszę; w owym gaju,  
 W tej białej chacie, cudnym rajem  
 Jam piekło ujrział... Tam niewola,  
 Tam praca ciężka, ciężka dola:  
 I modlić się nie dają nam!

Matusię moją dobrą tam,  
 Tak młodą jeszcze, do mogiły  
 Nędza i praca ułożyły;  
 Tam ojciec, płacząc z nami wraz  
 (A my maleńcy byli, goli),  
 Nie mógł już przenieść czarnej doli,  
 Skonał na pańskim. W ony czas  
 Porozłaziliśmy się wkoło,  
 Niby myszęta. Ja do szkoły —  
 Wodę szkolarzom nosić tam;  
 Bracia w pańszczyźnie żyli pono,  
 Póki im głów nie ogolono;  
 A siostry! Siostry? Biada wam,  
 Gołąbki wy serdeczne moje!  
 Komuż waszego życia plon?  
 Najemne, cudze wy dziewoje,  
 W niewoli zblakną kos zawoje,  
 W niewoli spotka was i zgon.  
 A mnie tak straszno, kiedy wspomnę  
 Ową chalupę z kraju wsi —  
 Takie to w onym rajy my  
 Sprawy tworzymy wiekopomne  
 Na świętej ziemi Twej! I cóż!  
 My z rajy piekło wzniesli już,  
 A w niebie także go czekamy.  
 Z braćmi żyjemy w zgodzie wszak —  
 Braćmi pluzymy krwawy szlak

I łzami ich go polewamy.  
 A może... Skądże wiedzieć mamy...  
 Lecz tak się zdaje, iżś sam...  
 (Bo przecie, Boże, wbrew Twej woli  
 W rajy nie byłoby niedoli!)  
 A może w tych błękitach tam  
 Śmiejesz się z naszych łez, Wszechwłady,  
 I walne z pany miewasz rady  
 Nad rządem świata! Bowiem patrz:  
 Tu gaj, zielenią lśniący traw,  
 A tam z za gaju wyjrzy staw  
 Lustrzanym kręgiem srebrzystawy,  
 A krępe wierzby ponad stawem  
 Cichutko w falach omywają  
 Zielone wici... Prawda — raj?  
 Lecz snadniej swe baczenie daj —  
 A cóż się dzieje w owym rajy?...  
 Zwyczajnie — radość, chwały śpiew  
 Tobie, Świętemu, Jedynemu,  
 Za dzieła Twoje... Dławi gniew —  
 Chwały nikomu i niczemu,  
 Lecz lży i hańby ból, i krew  
 Wszystkiemu — srom! Nie, nie! Świętego  
 Niemasz, ach, nic na ziemi tej!  
 Mnie się wydaje, że samego  
 Ciebie lud przeklął w zemście swej!

*Tłum. Bohdan Żyranik.*

#### DO POLAKÓW

*(Do Bohdana Zaleskiego)*

Kiedyśmy byli kozakami,  
 nim nadszedł unji smutny czas,  
 Polacy! pośród wolnych stepów  
 kochaliśmy, jak bracia, was.

Kwitnęły w ukraińskich sadach  
 dziewczęta, jako lilji kwiat.  
 Pyszniły się synami matki,  
 gdy zbrojnie wyruszali w świat.

Aż przyszli księża. Śpiew kościelny  
 popłynął do błękitnych nieb.  
 Schyliły się kozackie głowy,  
 jak podeptanej trawy step.

Dajże dziś rękę kozakowi  
 i serce czyste swoje daj,  
 a znów imieniem Chrystusowem  
 wskrzesimy utracony raj.

#### ŻEŚCIE POLSKĘ...

*(Urywek z «Posłania»)*

Żeście Polskę zawalili,  
 próżno z tego się chelpicie.  
 Polska padła. Lecz w jej gruzach  
 wyście utracili życie.

*Tłum. Julian Ejsmond.*

#### Z «MODLITW»

Cesarzy, krwawych szynkarzy,  
 Zakuj, o Panie, w kajdany,  
 Zamknij w loch okratowany.

Ludzi pracy, Wszechmogący,  
 Na ich okradzonej ziemi  
 Wspomóż siły najwyzszemi.

A tych, co są w sercach czysti,  
Anieli Twoi niech strzegą  
W prostocie ich ode złego.

A mnie zwól, Boże, na ziemi  
Prawdy umiłować ducha  
I wiernego daj mi druha.

## TESTAMENT

A jak umrę, pochowajcie  
Wy mnie do mogiły  
Pośród stepu szerokiego  
W Ukrainie milej.

Wszystko rzucę i lot zwrócę  
Do samego Boga —  
By się modlić. Nim tak będzie,  
Nie znam wcale Boga!

By szerokie, wolne pola  
I Dniepru zakręty  
Widać było — słychać było  
Szumiące odmęty.

Pochowajcie mnie — powstańcie,  
Porwijcie kajdany,  
Złą krwią wrogów świat pokropcie,  
Wolnością świetlany.

Jak poniosą z Ukrainy  
W sine oceany  
Wrażą krew — porzucę wtedy  
I góry, i lany.

w rodzinie wolnej, nowej,  
Co wielka powstanie,  
Rzućcie mi w przyjaznym słowie  
Ciche wspomnianie.

*Tłum. Zofja Wojnarowska.*

## PANTELEJMON KULISZ

(1819—1897)

## SKARGA ŻAŁOSNA

O, czemuśmy z Polską przez wiek wojowali  
orężem z żelaza i stali?  
Wszak walczyć mogliśmy perlami wymowy,  
miłości pełnemi słowy.  
Czyż Polska nie знаła bezmiernej swobody  
nad inne w świecie narody?  
A dzisiaj? O, Boże, litosny mój Boże,  
rosyjskie zalało nas morze.

## LACH I RUSIN

## L a c h :

Gdy żyć ze mną zaczniesz w zgodzie,  
Rusinie, mój bracie,  
będziem chodzić w aksamitach,  
w złocie i szkarłacie.  
Będziem węgierskiego wina  
wychylać puhary.  
Poskromimy i Turczyzna,  
harde Tatary.  
Rozszerzymy naszą władzę  
od morza do morza.

Zajaśnieje imię polskie,  
jak świetlista zorza.  
Niech świat wie, żeśmy przedmurzem  
wszego chrześcijaństwa,  
że stajemy z mieczem w rękę  
naprzeciw pogaństwu.  
Niechaj o nas gromka sława  
trąbi w złote rogi:  
«Wiwat Polska! kochajmy się  
wiecznie, bracie drogi».

## R u s i n :

Nie wódz nas na pokuszenie  
słowami dumnymi.  
I tyś nie był od wiek wieków  
władzą tej ziemi.

Gdyś obcalowywał buty  
wielkiego Ottona,  
wówczas nie wieńczyła jeszcze  
skroni twej korona.

Skąd się wzięły wodze twoje,  
skąd dzielne hetmany?  
Kto przed wrogów najazdami  
chronił twoje łany?

I Zamojscy, i Żółkiewscy  
ród swój wiodą z Rusi.

I Sapiechów ród za ruski  
uznany być musi.

Kiedys ginął pod Chocimiem,  
dzielny panie Lasze,  
wybawiło cię z opalów  
mężne wojsko nasze.

Zali ja mam ci ustąpić  
i morza, i pola,  
żeby wspólna była nasza  
dola i niedola?

Nie! sam panuj! Ja chcę zostać  
chłopem twym, mój bracie.  
Chcę zamieszkać jako dawniej  
w niziuteńskiej chacie.

Nie będę ja ci czapkować  
za chleb, Lachu drogi,  
a gdy bieda mię przyciśnie —  
hajda za porogi!

Uplywały i mijały  
wieki za wiekami...  
Rusin krew przelewał laską,  
Lach ruską — rzekami.

Ta gorąca krew ciekąca  
uczyniła dziwa,  
iż Ruś nie opolaczeje,  
póki będzie żywa.

*Tłum. Juljan Ejsmond.*

IWAN FRANKO

(1856—1916)

Z KSIĘGI «KAAF»

O, gdybyś wiedział, co znaczy jedno słowo,  
Płynące z duszy, współczuciem szczerem święte,  
Jak ono ślepce uzdrawia wiarą nową,  
Jak leczy serca, zwałpienia trądem tknięte:  
Nie szedłbyś wówczas dymiących łez padoletem,  
Zaciąwszy usta — od trosk zamlodu siwy,  
Zachęty słowa z pociechą siałbyś społem,  
Jak ciepłą rosę na dżdżu spragnione niwy,  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział, jak to się w dusze wwierca  
Pogardy słowo, godzące zawsze w sedno,  
Jak ono miazdzy, zniekształca piękne serca,  
Zatruwa życie — to drobne słowo jedno!...  
Spętałbyś wówczas swą złość, jak psa, co kąsa,  
Gdzieś na dnie duszy łańcuchem silnej woli  
I rzekłbyś sobie: O, niech się nie natrząsa  
Mój gniew z nikogo!... To tak okropnie boli,  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział, jak wiele trosk przeklętych  
Pod każdą maską radości, krzepkiej mocy,  
Jak wiele twarzy, w dzień mile uśmiechniętych,  
Gorzkiemi łzami zalewa się po nocy:  
Miłością wówczas zbroiłbyś wszystkie zmysły,  
Tajone męki tropiłbyś jako wrogi;  
By serc, zbyt dumnych, najtwardsze lody prysły,  
Pocałunkami ogrzałbyś najpierw nogi —  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział! Prastara to jest wiedza...  
Tkwi w sercu zdawna, lecz odczuć ją potrzeba;  
Ujrzałbyś wówczas, jak myśli ci wyprzedza

I jak na ziemi rozpyła błękit nieba —  
I niby słońce świeciłoby twe serce...  
Stapając pewnie, jak dziwny ów Rabboni,  
Co podczas burzy przez wodne szedł kobierce,  
Mówiłbyś do tych, co w lez się kąpią toni:  
Nie bójcie się! — Jam jest!

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

Z «MOJŻESZA»

Wstęp

Narodzie mój, męczony, gnany, bity,  
Jak paralityk wśród rozstajnej drogi,  
Pogardą ludzi, by strupem, spowity!

Twoja to przyszłość jest źródłem mej trwogi,  
A płomień wstydu na potomków licach  
Sen z moich powiek odpędza mi błogi.

Czyliż ci napisano na tablicach  
Żelaznych — u sąsiadów twych być gnojem,  
Sprzężajem wozów, mknących po ulicach?

Czyliż na zawsze przeznaczeniem twojem  
Będzie ukryta złość, fałszywa bierność  
Wobec każdego, kto zdradą, rozbojem

Skuł cię w kajdany, zaprzysiął na wierność?  
Czy przeznaczenie li tobie nie dało  
Mocy okazać twoich sił niezmierność?

Cyliż daremnie tyle serc gorzało  
Zdawna najświętszą do ciebie miłością,  
Tobie oddając duszę swą i ciało?

Na darmo kraj skąpany krwi świętością  
Walk bohaterów? Przepadły nadzieje  
Zasłynąć zdrowiem, pięknnością, wolnością?

Czyliż na darmo w słowie twem jaśnieje  
Siła i miękkość, dowcip, potęga —  
Wszystko, czem duch się wznosi, promienieje?

Darmo twa pieśń tęsknotą w serce sięga,  
Uśmiechem dzwoni i nutą kochania,  
Jak świetlna uciech i nadziei wstęga?

O nie, nie same ci lzy i wzdychania  
Są przeznaczone! Wierzę w siłę ducha  
I w dzień radosny twego zmartwychwstania!

O, gdyby chwilę trafić, co słów słucha,  
I słowo, co w tej chwili ukojenia  
Doda, uzdrawia, ogniem życia bucha!

O, gdyby stworzyć pieśń, pełną natchnienia,  
Co porwać może z sobą milijony,  
Oskrzydła, wiedzie na drogę zbawienia!

Gdyby!... Lecz nam, rozdartym i zwątpionym,  
Wstydem przybitym, nękanym troskami,  
Nie nam cię wieść na bój było sądzono!

Lecz przyjdzie czas — zabłyśniesz ty światłami,  
Skrzącemi w kole wolnych społeczności,  
Wstrząśniesz Kaukazem, hukniesz Beskidami,

Po Czarnem morzu pchniesz echo wolności  
I spojrzysz, jak gospodarz, między pany  
Po swojej chacie i po swojej włości.

Przyjm śpiew ten, chociaż tęsknotą owiany,  
Choć gorzki, ale wolny, wiary pełny;  
Przyszłości twej zadatek, łzami zlany,

Genjuszowi twemu — dar weselny!

*Tłum. (przy współudziale autora) Włodzimierz Kobryn.*

### BORYS HRINCZENKO

(1863—1910)

O, PRZYJDZIE...

O, przyjdzie, zaprawdę, ten dzień,  
Gdy spocznem, strudzeni, od mąk;  
Rozprysną żelaza się w proch,  
Kajdany opadną nam z rąk.

Bezbronnych nie sięgnie już gwałt,  
A mocny — nie będzie jak kat,  
I naród wyciągnie swą dłoń  
Do braci-narodów, jak brat.

O, przyjdzie, o, przyjdzie ten dzień,  
Gdy przemoc, niewola i krew  
Na wieki zanurzą się w mrok —  
Miłości zwycięży nas zew.

O, przyjdzie, o, przyjdzie ten dzień,  
Gdy pieśń się wyzwoli z za krat —  
Braterski, zwycięski nasz śpiew  
Rozlegnie się echem na świat!

*Tłum. J. W.*

### MYCHAJŁO KOCIUBYŃSKYJ

(1864—1913)

W PĘTACH SZATANA

(Wyjątek)

We wsi ciemno i cicho. Kramy i jatki zamknięte, przewodnicy rozkulbaczyli swe konie, sprzedawcy «jamurta»<sup>1</sup>, winogron, czadr<sup>2</sup> oraz innych artykułów odłożyli swe prace na dzień powszedni, wogóle cały ten ruch, który czatuje na pełne kieszenie gjaurów — wstrzymało święto. Muezzin po raz ostatni przekrzycał z minaretu «Ła Alla»... — i prawowierni odpoczywają. Tylko niestrudzone morze kotłuje gdzieś daleko, jak olbrzym niewidzialny, wydychający z siebie dzienny upał, gwiazdy dygocą w nocnym chłodzie i kryją się jedna po drugiej za czarnemi, jak chmury, wierzchołkami Jajły.

U stóp genueńskiej baszty migocze światło. W zakopconej od dymu szczelinie, jak w dziupli wielkiego drzewa, gotuje się na rozżarzonych węglach kawa.

Dokoła ognia siedzą, według zwyczaju wschodniego, z podgiętymi nogami brodac «hadzi» w wielkich zawojach i zwykli muzułmanie w lezach. Hadzi Bekir zajmuje miejsce honorowe: siedzi obok nikłego Turka w białym chałacie i zielonej «czalnie».

<sup>1</sup> Jaj.

<sup>2</sup> Zasłon.

To softa z samego Stambułu, którego mądrych i świętych słów przyszli posłuchać prawowierni.

Milczą oni w skupieniu. Nawet piękny Septar, stojący zdala, z rękami, które cuchną koniem, na biczysku wspartemi, jakoś nie tak dumnie wypina swe piersi i nie tak zuchwale rozgląda się dokoła.

Ogień czerwonymi błyskami oświeca fezy i smagłe oblicza. Miedziany imbryk syczy na węgłach, dalekie morze faluje rytmicznie.

Wreszcie kawa zaparowała w małych filiżankach w rękach gości — i softa zaczęła. Mówił skrzypiącem, monotonnym głosem, cicho, długo i kwieście. Rozpoczął od Adama. W jaskrawych barwach przedstawiał dawną świetność tatarskiego plemienia i jego walki z niewiernymi, w których chorągiew Mahometa obesła prawie połowę świata. Wychwalał potęgę i mądrość wielkich chanów, rozczulił się na wspomnienie pobożności prawowiernych i odkrył serce Allacha, pełne radości i zadowolenia z wiernych sług Mahometa. Jak księżyc pośród gwiazd, jak orzeł wśród ptaków — tacy byli muzułmanie pośród innych narodów. Na świadków wzywał te odwieczne góry, które widziały minioną sławę wielkiego ludu, i powoływał się na basztę, pod którą siedział: ona pamięta owe czasy, kiedy po jej murach spływała krew giaurów, a na jej szczycie błyszczał półksiężyc...

Misternie i poetycznie opowiadał on wszystkim znane i drogie legendy ludu, wywoływał z mogił duchy świętych i bohaterów, którzy swe głowy oddali za wiarę i na chwałę Allacha oraz Mahometa.

Teksty i przepowiednie z Koranu przeplatały się w mowie, jak w sztucznej siatce, z opowieściami ludu i cudowną zasłoną okrywały przeszłość. W czarnych oczach softy płonął ogień, a blade jego oblicze stawało się jeszcze bielsze. Prawowierni słuchali, skupiwszy uwagę, i do taktu kiwali się na podgiętych nogach.

A softa ciągnął dalej. Przypominał on wszystkie krzywdy, których prawowierni zaznali od giaurów. Oni to zniszczyli ich królestwo, zrujnowali osady, majątek i kraj, jak kwiat kwitnący, przemienili w pustynię. Gdzie te ludzkie osady, gdzie ten naród, który, jak pracowite mrówki, zamieszkiwał niegdyś tę urodzajną ziemię? Niema go. Wróg go wypędził z własnej ziemi. Spójrzcie — krzychał, wskazując ręką dokoła — ruina, wszystko pożarli niewierni... Oni zaleli brzeg morza, zagarnęli najpiękniejsze kraje i wyparli resztki Tatarów w góry, na kamienie. — — — Lecz jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze miłosiwny Bóg zachował dla prawowiernych kraje, w których giaur nie ma znaczenia i nie ma siły, aby się znęcać nad nimi. Nad tą krainą rozciągnął swoją potężną rękę sprawiedliwy i mądry sultán i, jak matka dzieci, ochrania swych poddanych. Idźcie tam wśród jednowierców i współplemieńców wyzwalać z grzechu swe dusze!... I niechaj zapadnie się ten przez giaurów zajęty kraj, niech sprawiedliwy Bóg ześle ogień niebieski, niechaj go spali i popiół po morzu rozwieje! Ła Alla il Alla! — Mahomet rasul Alla!<sup>1</sup>

I softa wyciągnął rękę ponad ziemią, jakby na nią chciał ściągnąć gniew groźnego Allacha.

Dusza chadzi Bekira płonęła. Patrzył na softę błyszczącymi oczyma, widział spadający z nieba ogień i hen, za morzem, w dalekiej perspektywie ukazała mu się potęga muzułmańskiej religii.

Zapanowała cisza. Gasło ognisko pod murami baszty, i księżyc z góry spoglądał na zebranie. Prawowierni siedzieli ze spuszczoneym wzrokiem i coś nakształt złośliwego uśmiechu błąkało się po ich ciemnych obliczach.

— Ba — myśleli sobie — giaur, giaur... A z kogóż my żyjemy, jeżeli nie z giaura?

I przypomnieli sobie te niezliczone sposoby zarobków i dochodów, które mieli od giaurów. Przypomnieli sobie «jamurta», winogrona, mleko, podwody, przewodnictwo, komorne, wszelkiego rodzaju «bakszysze», całe te bogate żniwa, które z giaurów zbiera Talarzyn, nie orząc i nie siejąc. Dokąd mają się przesiedlać? poco? — pytali się, i zbierała ich chęć roześmiać się w oczy mądrymu, lecz nieświadomemu prawdziwego stanu rzeczy sofcie. — Ale milczeli.

<sup>1</sup> Niema Boga, prócz Allacha! — Mahomet jest prorokiem Allacha!



Milczenie to sprzykrzyło się im wkońcu — więc Septar przystąpił nieco bliżej i z ręką na biczysku odezwał się do softy:

— Powiadasz, mądry człeku: przesiedlajcie się stąd... A powiedz nam, dlaczego od was, z Turcji, taka moc obdartego, pracującego ludu sunie do nas i odbiera nam zarobki?... Dlaczego idą, jeżeli tam tak dobrze? A ty nas wołasz ku sobie... Powiadasz — giaur niewierny, a u nas giaur więcej znaczy, niż dwóch prawowiernych... Giaur żyje i nam daje żyć. U nas tak: na Jajłę chodził — pieniądze zarobił; po morzu pływał — pieniądze zarobił; giaura wozil i znowu wziął pieniądze... Oto i dzisiaj mam piętnaście rubli — tu Septar brzęknął w kieszeni monetą — a co ty nam dasz w Turcji, gdzie niema giaurów?

I wypiąwszy złotem haftowaną pierś, uparcie wpatrywał się w przerażonego softę, czekając na odpowiedź. Prawowierni aż przycmoknęli. Prawda, istna prawda! Jakby im z ust te słowa wyjął.

Tylko serce hadzi Bekira spłonęło słusznym gniewem, więc, miotając na Septara błyskawice swych oczu, krzyknął:

— Milcz, wstrętny najmito giaurów!

Septar nie umilkł.

— Eeh, stary, wiem, że zazdrościsz mi zarobków, których przez własną zawziętość mieć nie możesz...

Była to prawda, głęboko ukryta prawda. Więc hadzi, zapominając o swej godności i powadze, zerwał się z miejsca i wszystkiem swem oburzeniem plunął w twarz Septara:

— Kepek! asma kepek!...<sup>1</sup>

Oczy Septara zalały się krwią i wylazły nawierzch, jak u barana. Zdawało się, że rzecz skończy się poważnie, lecz Septar zapanował nad sobą.

— Eeh, stary, pilnuj swej brody, jeżeliś ją poświęcił — pogroził hadziemu i, obróciwszy się, wyszedł, pogwizdując wesoło.

Softa struchlał. Jego czarne oczy zaokrągliły się i powiększyły. Malował się w nich strach. Czekal, rychło li rozstąpi się ziemia i pochłonie zuchwałego Septara albo też — czy nie spotka grzesznika kara pod ruinami baszty lub pod kamieniami, które chwyci lud oburzony. Lecz wszystko było po dawnemu: ziemia się nie rozstępowała, baszta stała na miejscu, a prawowierni siedzieli spokojnie, jakby się nic nie stało lub jakby dzielali zapatrywania Septara. Ba, po chwili zaczęli się nawet rozchodzić, tłumacząc się, że pora jest późna i że jutro czekają na nich sprawy...

Strwożonym, zdziwionym wzrokiem spoglądał softa dookoła, a w głowie jego jakby coś świtało:

— Pęta szatana... pęta szatana... — szeptał zsiniałymi ustami, zwracając blade swe oblicze do oburzonego hadzi Bekira.

Ale ten tylko plwał w bezsilnej złości i wciąż miotał przekleństwa...

Ostatni opuścili basztę hadzi Bekir i softa. Jak widma, posuwali się po zalane światłem księżycy ulicy, wlokąc za sobą dwa długie cienie. Smętni i rozczarowani, wlewali przed sobą swe żale — i jakby współczując im, wzdychało zdala morze i cieniem głosem płakała w gajach nocna jaskółka.

*Tłum. N. M.*

## OSYP MAKOWEJ

(1867—1922)

### SEN

Cichy sen po górach chodzi,  
Za rączynę szczęście wodzi.

Śpij, o śpij, dzwoneczku siny,  
Dzikie róże połoniny!

Lasy szumią coraz ciszej,  
Drobne kwiaty sen kotysze.

Nie szum już, zielony borze,  
Wietrze, znijdź w skaliste łoże!

<sup>1</sup> Psie, wścikiy psiel

Śpijcie zdrowo, kwiaty, trawy,  
Niech was tuli sen łaskawy,

Póki wstanie świt różowy.  
Słońce drobne wasze głowy

Przyogrzeje, ucałuje  
I światami powędruje...

Cichy sen po górach chodzi,  
Za rączynę szczęście wodzi.

#### NADLECIAŁA CICHA ZJAWA...

Nadleciała cicha zjawa  
Ze świata —  
Duszę wiosną mi napawa  
Jej szata.

Jakże ci się, miły, wiedzie?  
Mów przecie!  
Nie odwiedzasz mnie w mej biedzie  
We świecie.

Tyś miłości przeniewierca,  
Jam dłużną...  
Zdobywałeś silne serca —  
Naprawdę.

Dzisiaj ja cię marzeń wiosną  
Upoję,  
Dziś zanucim pieśń radosną  
We dwoje...

Jak jej słowa, cicho brzmiała  
Pieśń ona,  
W mych źrenicach drzeć przestała  
Łza słowa.

#### KRZYŻ

Tu w górach krzyż! To kraj przeklęty!  
Gdzie spojrz, na krzyżu Bóg rozpięty  
I wszędzie wiara, otchłań wiary,  
A szubienicom niema miary.  
Tłum umie tylko znak przygody  
Chrystusa wetknąć w twarz przyrody,

A życie — djabłu. Chryste! katy  
Chcą jeszcze za to Twej zapłaty!  
Twym krzyżem tłumią swe sumienia,  
A serca ich, jak krzyż — z kamienia.  
I szubienica dla nich Bogiem,  
A sam Ty, Jezu, — stój za progiem...  
*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### OLGA KOBYLAŃSKA

(ur. 1865)

#### BITWA

(Wyjątek)

Bukowińskie Karpaty.

Wirch przy wirchu stoi w niemej wielkości, a wszystkie odziane w smerekowe lasy.  
Rozmaicie ukształtowane, pędzą one w niebo — a stoją nieruchomo tysiące lat;  
drwią sobie z każdej zmiany, zachodzącej przed ich oczyma, rozkoszują się własną  
pięknością, świadome swej wiecznej trwałości.

Wiele pasm kimpolungskiego powiatu jest jeszcze pokrytych odwiecznym lasem.  
Ciemnoniebieską zielenią migocą zdaleka, a kiedy popatrzyś na nie z sąsiednich  
szczytów, zda ci się, że nie dotrzesz do nich, spowitych w srebrnawo-sine mgły.

W okolicy Ruskiej Mołdawicy zeszły się tak blisko dwa równoległe pasma, że  
dolina, co je rozdzieliła, mogła być wygodnym miejscem pohulanki dla buńczucznego  
potoku. Gdzie się ta dolina rozszerzała czy zwężała, gdzie był jej początek, nikt do-  
kładnie nie wiedział. Nie było tu widać drogi ni ścieżki żadnej, nie było żadnego śladu  
ludzkiej obecności. Rozpierając góry, ciągnęła się zakrętami, a obrzeżona z obu stron  
zalesionymi wirchami, gubiła się razem z hucznie lecącym potokiem między ścianami  
gór, co jakby naprzekór jej w niektórych miejscach prawie się dotykały.

Panowała tu wszędzie tajemnicza cisza. W przyrodzie całej królowała rozkosz,  
w barwach przeróżnej roślinności — piękno, a w górze — takie bogactwo zieleni, że  
człowiek czuł się prawie przygnębiony.

Zielonawo-brunatny wysoki do kolan mech, nigdy nie tykany, bujał w łagodnych falach po wilgotnawej ziemi odwiecznego lasu. Z niego wyrastały niezbyt gęsto sosny, których wiek można było zgadnąć, ale trudno odmalować ich piękność i rozmiary. Ich pyszne korony pieściły się z obłokami, a nad sobą znosiły chyba jedynie promienie słońca.

Na ziemi zrzadka leżały drzewa-olbrzymy, podryte i zwalzione wiekiem albo rzone piorunem. Spoczywały w trawie, obrosłe po wierzchu mchem, puste i spróchniałe wewnątrz. Przy nich bujała młoda drzewina o szerokich gałęziach u dołu, a w górze strzelista, pełna młodzieńczej gibkości. Czasami słysząc głosy ptaków.

Częściej zato tę prawie kościelną ciszę przerywał szelest i trzask oblamywania się jakby suchych gałęzi, i smutny, daleko rozlegający się szum. Rzadko kiedy wiatr rozchwiewał gałęzie. Ledwie przy najsilniejszym wietrze klaniały się korony.

Zdawało się, że szum przychodził gdzieś z dalekich przestrzeni, płatał się w gałęziach, ciężkim oddechem rozchodził się po lesie i bił się z gąszczem drzew o wydostanie się na wolność.

Kiedy gwizd lokomotywy przeciął po raz pierwszy ciszę doliny, wsuniętej między górskie ściany, przeszło coś przez stuletnie drzewa, jakby błyskawica.

Z lokomotywą zjawiała się garść ludzi. Ledwie się odważyli przestąpić niedostępny skraj odwiecznego lasu i sięgnąć w jego wnętrze.

Tu było niezwykajnie.

Wszędzie martwa cisza — powietrze chłodne, wilgotne. Żywica, wyciekająca z popękanej kory drzew, twardniała na powietrzu i przesycala je swoim zapachem. Wysoki mech przeszkadzał w chodzie. Twarde korzenie drzew, grube jak ramiona, wypelzały niby węże z mchu, a splecione z sobą wlekły się potwornymi pierścieniami w głąb wrogo dyszącego i spowitego w zieloną ciemność lasu.

Jeden z przybyłych uderzył żelaznym toporem w stary smrek, na którego pniu rosły grzyby, jak wielkie jaskółcze gniazda.

Smrek wzdrygnął się. Odkąd pamięta, nie czuł na sobie topora. Cios poszedł po całym lesie — wszystkie drzewa wstrzymały oddech — zaległa głucha, pełna oczekiwania cisza, i padło wolno, wyraźnie wymówione słowo: «rąbać!»

Jak po kościele, przebiegło po lesie: «rąbać!», «rąbać!» zadzwoniło tuż obok i zarazem w tej samej chwili w najdalszej odległości. Odzywało się jakby obudzonym ze snu krzykiem, ożywiło cały las i rozbiegło się trwożnie po wszystkich jego kątach, nie zamierając.

«Rąbać!» przeszło w szemrania. Z tego wszczął się strwożony szept, westchnienia, wreszcie powstał szum, jak przed wiatrem, napelnił sobą przestworze, że aż lęk brał, zbił się pod chmurami, aż wkońcu warknęła burza.

Niebo zaszło groźną, czarną barwą, i zaczęła się ona górską burza. Spadały grube krople deszczu.

Zrazu po jednej, i takie ciężkie, że pod ich uderzeniem liście się trzęsły z szelestem; potem częstsze — wreszcie całe ukośne potoki.

Błyskawice biły w smreki, rozkluwały najdorodniejsze pnie, a piorun próbował rozsądzić góry. Z takim łoskotem i hukiem potrzasał niemi, jakby je chciał zmusić do wyjścia z ich śmiertelnego spokoju. Zdawało się, że po górach się toczą olbrzymie kule, wyrzucane od czasu do czasu przez złościsto-ogniowe błyskawice.

Wreszcie ucichło, ale bez przerwy padał deszcz z głośnym chlupotem. — — —

Pewnego chmurnego poranku zaczęła się bitwa.

W wąską dolinę — umyślnie zbudowaną żelazną drogą, której szyny wiły się, jak srebrne żmije, wzdłuż biegnącego tuż kolo nich potoku — wszedł ciężarowy pociąg.

Wrogi syk, przesywający, przenikliwy gwizd obwieścił przybycie pociągu. Przy końcu żelaznej drogi stanął, sapiąc i wyrzucając groźnie czarne pierścienie dymu.

Przywiózł wroga, który wysiadł. — — —

*Tłum. Władysław Orkan.*

## WASYL STEFANYK

(ur. 1871)

## RODZINA BARTKA

Bartek po swojemu ukradł żonie trochę jęczmienia i niósł do karczmy. Nie szedł, ale biegł do Żyda i wciąż się oglądał.

«Oho, już leci z bachoramy. Bodajeśta karki połamały. Zeby choć do karczmy dolecić, bo jak dopadnie, to znowu rejwach zrobi na całom wieś».

Uciekał z workiem na plecach, ale baba z chłopakami dogoniła. Przed samą karczmą porwała za worek.

«Nie uciekaj, nie spiesz się, krwawicy mojej po Żydach nie roznoś».

«A ty, pokrako, chcesz znowu przed wszyściami breweryje wyprawiać, nie wstydy ci?»

«Dosyć się wstydu najem z takim chłopem, nie bój się. Dawaj worek i uciekaj na zatracenie. Jak nie dos, to bić się bande i dzieciska cie obijom przed wszyściami. Na cały świat ukaranie. Oddawaj».

«Suko stara, wściekłaś się, powywiesom pędraki i ciebie».

«Jendrek, bij po nogach, po nogach, niech chleba po Żydach nie nosi! Bijta po nogach, zebyśta mu poprzetronały. Na kalikę zarobiła, a na pijaka nie zarobiła, a na pijaka nie zarobimo».

Mówiła do dwóch chłopaków, co stali z patykami i z nieśmiałością spoglądali na ojca. Jędreka miał z dziesięć lat, a Jasiak osiem. Nie śmieli się jakoś zbliżyć i bić ojca.

«Bij po nogach, Jendrek, ja go trzymom za ręce, po nogach go, po nogach».

I trzasnęła chłopca w gębę. Oddał jej, aż krew pociekła. Chłopaki przybiegli i zaczęli okładać kijami ojca po nogach.

«Mocnij, synacku, przetrąć mu łape jak psu, zeby za sobom włóczył».

Pluła krwią i sinią, ale trzymała ręce Bartka.

Chłopcy się ośmielili i podbiegali, jak szczenięta, bijąc po łydkach, uciekali i znowu lupili. Prawie się bawili, prawie ze śmiechem bili.

Z karczmy wybiegło kilku ludzi.

«Moiściewy, widziane to rzeczy, jak świat światem, nie było takiego zgorzenia, jescze im mleko nie obeszło, widzita, jak okładajom».

«Chłopaki, zmożeta się przy robociel!»

«Trza było dłuższe kije brać! zebyśta dostały»...

«Po łbie bijta, po ciemieniu, po rozumie».

Tak pogadywali pijani przed karczmą.

Bartek rzucił worek na ziemię i stał jak głupi. Nie spodziewał się tego napadu i nie wiedział, co ma począć. Położył się wreszcie na ziemi i zdjął kozuch.

«Jendrek, Jasiak, bijta me teraz, ani sie ruse. Maliśta do biegania, zmęczyta się, bijta teraz».

Chłopcy stanęli zdaleka i z podziwem przyglądali się ojcu, powoli porzucali kije i patrzyli na matkę.

«Ady ich namawiaj tera, niech bijom, układłem się, bijta».

Bartkowa zaczęła zawodzić, aż się rozległo:

«Co ja sirota zawiniłam, napracuje się o suchym chlebie z dzieciskami w polu, a co uzbieram, to on do karczmy zabierze. Nic bez niego zarobić nie mogę, bo chałupy na kogo ostawić niema. Bez koszuliny nas zostawił w chałupie, co złapie, to do Żyda zanieś. Gdzie ja mogę zarobić i na dzieci, i na Żydów! Niech się dzieje wola boska, ale ja nie wytrzymam».

«Bijta me, nie ruchne się».

«Zeby cie, zatracieńce, Bóg skarał, zmarnowałaś me i dzieciska osirocieś. Natłu-  
kłeś nas tyle, że mieńca zdrowego na mnie niema. Skorupy żadnej w chałupie utrzy-  
mać nie mogę, bo wytłuczesz. Ile razy na mrozie z dzieciskami nocuje, coś syb na-  
wybijał. Zeby cie Pan Jezus pokarał, nie ja. Takiem se szczęście u Boga uprosiła. Nie  
dziwta się, ludzie moi, bo nie wieta».

Worek wzięła na plecy i powlokła się do domu, jak przełamana kura.

Bartek leżał na ziemi i nie ruszał się.

«Do kryminału pónde, na wiecne casy pónde, ale takiego jesce nie widziały, takiego jesce nie slysały. Takie ci zrobie, jaz sie ziemia zatrząsie».

Leżał i gwizdał.

Bartkowa wszystko z chałupy do sąsiadów wyniosła. Na noc ukryła się z dziećmi w ogrodzie między chwastami. Bała się Bartka pijanego, gdyby w nocy wrócił. Dzieciom podesała worek i przykryła kożuszyną. Sama siedziała między nimi w chustce.

«Robaki, co my tera pocniemy. Tom wam dziś na całe życie posłała. Zembrzecie, a nie zapomną wam. Nie wymodle dla was zmiłowania».

Plakała i nasluchiwała, czy Bartek nie wraca. Niebo drżało razem z gwiazdami. Jedna oderwała się i spadła. Bartkowa zrobiła znak krzyża.

*Tłum. Wacław Moraczewski.*

## LESIA UKRAINKA (LARISA KOSACZÓWNA)

(1872—1913)

### PRAGNĘŁABYM POPLYNAĆ WDAL...

Pragnęłabym popłynąć wdal na fali,  
Jak ta Ofelja szalona, w mirt przybrana.  
A pieśni me płynęłyby mi wślad,  
Falując, mknąc, jak te przeczyste wody,  
Wciąż dalej, dalej...

Lazurowe prądy  
Jedwabiem fal spowityby me ciało,  
Kołysząc mię do snu, jak to marzenie,  
Tak cicho, cicho...

Wówczas, zbywszy woli,  
Tonęłabym w spowiciu bez oporu,  
Ze śpiewem, już zaledwie dostlyszalnym,  
Nurzając się w błękitne, jasne wody  
Wciąż głębiej, głębiej...

Potemby na fali  
Pozostał dźwięk, nieznaczone, słabe echo  
Mych pieśni, tak jak mrące przypomnienie  
Prastarych klechd, śpiewanych bardzo dawno —  
W nich było coś z dymiącej krwi i smutku,  
Lecz któż je zna? Ta pieśń rozgłośnie brzmiała  
Tak dawno, dawno...

Potem zmilkłby oddźwięk,  
Na fali wód wdal płynąłby już tylko  
Zielony mirt, co ze mną wraz nie poszedł  
Na dno... na dno... Hen mknąłby on, aż wreszcie  
Dopłynąłby do cichych, modrych stawów —  
Na wodnych tu bieg wstrzymałby lilijach.  
Plączące w toń schylałyby się brzozy  
Żalobnych swych splecionych rąk żalobą;  
Z nadziemskich sfer rosiłby na lilije  
I na ten mirt, co rwałam go, szalona,  
Kojący spokój...

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## BOHDAN ŁEPKYJ

(ur. 1872)

## PRZED ŚMIERCIA

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba.

— Co? Do chorego? Po djaka niech skoczą. Niechaj cerkiew otworzy i wszystko co rychlej przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi, i słyhać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jegomości.

— Do chorego? Cóż robić? Trza isć, choćby się spalo.

Nigdy sen nie wydaje się tak smaczny, jak wtedy, gdy nam spać nie dają. Poprawił koldrę i na chwilkę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniła mu dzwony, i pod wrażeniem ich dalekich dźwięków ukolysał się i zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, djak już dawno czeka.

— Czeka? Powiedz, że idę.

I za godzinę ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, niby w mlecznym morzu, i nie widziały siebie. Na przenikliwy odgłos dzwonka klękali przechodnie, jako się winno zawždy czynić, kiedy ksiądz idzie z Panem Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek. Wiejskie, jak ciasto w dzieży, wymieszane błoto ścięło się i świeciło brudnymi kryształkami, które, łamiąc się pod nogami, chrzęściały jak szkło stłuczone. Ksiądz poczuł zimno i śpieszył, djak kroczył przed nim poważnie i co dwa, trzy kroki — dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

— To tutaj — oznajmił djak.

— Tutaj? — powtórzył ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Zdziwiony był niepomału, że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów nie widzi, ni krewnych, ani lekarzy wiejskich, ni lekarek.

— Może to nie tu? — zawahał się.

— Tutaj, wiem dobrze, toć Skrechota chory. Wejdzmy!

I weszli. W chacie było cicho. Pusto, jak wymiótł. Pościel rozrzucona, ale chorego nie widać.

— Hej, jest tu kto? — wyhukiwał djak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt się nie odezwał, prócz drobiu na bantach.

Siedli na ławie i czekali. A tu i słońce zaświeciło, i mgła się podniosła na chłopca od ziemi. Wtem słyszą z pola:

— Aciu, aciu do chlewa!...

Postąpili za próg i zobaczyli staruszka bosego, z pomierzwionem ponad czołem włosem, jak uganiał się za podświnkami, chcąc je skłonić, by weszły do chlewa. Lecz one, widząc jego niemoc, biegały po całym podwórzu i miały widoczną chęć zaglądnać do sadu, tem bardziej, że płot był lichy, a furtka ladaco. Starzec wołał za nimi rękami i głosem, wlokąc bezradne i bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył na to chwilę, wreszcie się począł niecierpliwić.

— A coto wy — powiada — co wy se myślicie? Zwolujecie mnie z łóżka, nie-wiedzieć poco i naco? Kto u was chory?

Stary popatrzył i przykiwnął głową.

— Ta to ja, proszę jegomości, to ja umieram.

— Coto, wy kpicie sobie ze mnie, czy co? Umiera i za bezrogiemi lata po całym ohejsciu...

— A jakże, proszę ojca duchownego... Jak wyszły, to trzeba zegnać. Poszłyby w ogród albo do sąsiada... Aciu!...

Kto wie, jak długo jeszcze trwałby ten pościg nierówny, gdyby nie djak. Ten położył na ziemi dzwonek i latarnię i podążył staremu na pomoc. Wieprzki, widząc przed sobą tak poważną osobę, dały się zaraz uprosić i weszły do chlewa. Stary jeszcze raz skarcił je słowami ostro i zamknął drzwiczki na grabowy kołek. Teraz dopiero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie. Bo jak to zwyczajnie — wyrwały się, to je trza pozganiać.

— Ja nie gniewam się na was — odrzekł ksiądz — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecież moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wyspowiadać się.

— Boże ty mój kochany! W jaką niedzielę! Ja przecie do południa kto wie, czy dociągnę. Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać. Bóg widzi, że nie kłamie.

— No, zobaczymy — mruknął ksiądz, wchodząc do izby.

Staruszek zaś poszedł do komórki, aby się przebrać. Wnet wrócił biały i uczesany. Ksiądz nie śpieszył się zbyt, nie widział potrzeby. Rad był pogawędzić ze starym, co umierając, świnię jeszcze chciał pozganiać.

— A dawności wy chorzy? — spytał, siadając przy nim na ławie.

— O, dawno, dawno!... Tak niby boleć, to mnie nic nie boli, jeno siła ze mnie wyszła, i już jej nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła, i zimno jakieś wkrada się do piersi: wyraźnie śmierć.

— I wy tak sami?

— Nie sam, mam dzieci, dobre dzieci, grzech byłoby narzekać. Dziś żadne z chaty iść nie chciało. Obstąpili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Poco tu te płacze? Idźcie każde do swojego. Mnie nikt nie ukradnie. A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, powiadam do starszego syna, idź na Zmyjną. Rola gotowa, dawno zasiać trzeba. Może przyjdzie pogrzeb, znowu się przeciągnie... Ty, powiadam do córki, idź do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tu na miejscu u Żydów dwa razy drożej. Synową posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść po księdza i wstąpić do cieśli. Zostałem oto sam i cicho leżę napościeli, gdy wtem słyszę: podświnki się wypuściły. Patrząc przez okno — ryjkami wrota podnoszą. Trza je pozganiać — myślę se — i jakoś, Bogu niech będzie chwała, pozganiałem...

— No, i jakże wam, nie straszno przed śmiercią?

— Czego się mam bać? Nikomu człek życia nie skrócił, nikogo nie okradł. Przeżył swoje i wynoś się. To tak, jak ten najemnik na polu. Ukończył pracę — i hajda do chaty! Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła uciekła, nic robić nie zdolę, a tak podaremniczy dzieci objadać, to niepieknie. I w gardło nie chce iść. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi. Czego się mam bać? Dzieci na ludzi wyprawadziłem, wyposażylem je, czem mogłem, rozumu trochę przyuczyłem...

— Możemy zacząć?... — odezwał się pleban.

— Zaczniemy z Bogiem — szepnęła starzec, żegnając się trzy razy.

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania, gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: Bam! Bam! Bam!

Stary Skrechota umarł.

Pszenica już zasiana, i podświnki w chlewie, córki z miasta tylko co nie widno — mógł spokojnie umierać...

*Tłum. Władysław Orkan.*

#### POD WRAZENIEM MAZURKA SZOPENA

Niekiedy zda mi się, że wszystko jest majakiem,  
Że się w dziwnym śnie przyśniłem własnej duszy.  
Gdy rzeczywistość wdał pomyka lotnym ptakiem,  
Sam sobie ginę z ócz, mrok biały w przestwór prószy.

Rozprzędza mi się jaźń, jako te mgły nad wodą,  
Jak ten daleki śpiew, co w cichy wieczór płynie  
Po kwiatkach i po mchach z wieczornych ros ochłodą,  
Aż w ciemnym borze, hen, w przepastnych jarach zginie.

Rozwiałem się, jak cień. I czuję, mnie już niema  
I może nigdy już, ach, nigdy już nie będzie...  
Choć słońce ciągle lśni, jak wielka srebrna gemma,  
Ni dźwięków już, ni barw. Tak cicho, cicho wszędzie.

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## MYCHAJŁO JACKIW

(ur. 1873)

## KRUŻGANEK DORYCKI

W starożytnej świątyni, opuszczonej na górze wśród miasta, zakłócają potomkowie od czasu do czasu spokój dawnych bogów — urządzając swe zabawy. Po tysiącach lat doczekała się świątynia, że wznowiono w niej Sofoklesowego króla Edypa.

W pierwszym rzędzie siedzi artysta i widzi, jak wspaniałe ogrom tej tragedji za ciężki na dzisiejsze siły, jak cała jej potęga ukrywa się przed publicznością. Edyp i publiczność — oboje ślepi; tylko Edypowi nie śniło się poznawać jej. Tragizm ślepoty Edypa zetknął się z komizmem ciemnoty dzisiejszego społeczeństwa. A może ta druga ślepotą tragiczniejsza?

Artysta zagłębił się w sztuce; jego zapomnienie miało taką siłę, że zwróciło uwagę pewnego dziewczęcia. Wpatrzyła się weni intuicją swą i zapragnęła widzieć i odczuwać jego duszę.

Zewnątrz świątyni powiewają na tle pogodnego, ciemnoblękitnego wieczora chorażwie, a opodal siedzi na płycie staruszka. Szeptem odmówiła modlitwę, oparła głowę na ręce i wpatrzyła się w starożytne kamienne ściany świątyni. Zmierch. Na ciemnym krużganku zamajaczyły dwa cienie, staruszka drgnęła i szybko zesła wdół.

Przedstawienie skończyło się, w świątyni znów pusto i głucho.

Mijają dni i noc, dziewczyna wędnie, usycha w cieniach tęsknoty i smutku, lecz artysta nie widzi i nie przeczuwa.

Pewnej nocy wybrał się w daleką podróż i przechodził przez górę obok świątyni. Szedł krużgankiem. Była cisza, księżyc świecił jasno i rzucał grube cienie arkad. U podstawy ściany spoczęło smutne światło. Artysta, usiadłszy na kamiennej podłodze, wpatrzył się w to światło, a ono — samotne, nieznanne, martwe — miało właściwą sobie mowę i przyciągało go. Zadrżał, dobył sztyletu i obejrzał się. Wokoło pusto i głucho. Wczuł się znowu w światło na ścianie, posmutniał smutkiem rozłąki z tem miejscem na wieki. Z pod ziemi dolatywały tłumione jęki i westchnienia, tajemne gwary i szelesty, przed nim rozwijał się wspaniały bład korowód bogów, rozwijał się czarownym tańcem i ulatywał chmurą ponad gaje mirtu i cyprysów. Artysta nie zauważył, że zbliżył się do niego chwiejny cień kobiety. Przystanąła na chwilę i rzuciła mu się z rozdartym śmiechem na szyję. Nagłym lękiem ogłuszony, uchwycił sztylet, przebił ją i umknął.

W dalekiej podróży drżał nieraz na to wspomnienie i wierzył, że wymknął się z rąk rozbójnika.

Kto przechodzi nocą przez ten krużganek, czuje, jak trąca o niego skrzydło tajemniczego smutku, lecz skrzydło to szybko znika.

Zasłona zapadła. Prawdziwe, wielkie dramaty niezawsze wychodzą najaw, lecz pozostają poza ludzką uwagą tak daleko, jak te dwa cienie, co przelewały staruszkę, i nie nam sądzić takie przestępstwa.

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## OLEKSANDER OLEŚ

(ur. 1878)

## Z «OBCZYNY»

Nie patrzy w słońce wzrok żaloszny —  
Wciąż jeno widzę w marzeń snach  
Minione dni, ubiegłe wiosny,  
Sercu bolesny i radosny,  
Skąpany we krwi i we łzach —  
Ojczysty kraj.

Lecz gdy się ugną złąkle wrogi,  
Zwycięstwem mignie krwawa stal —  
Kwiatem uśmiechną się rozłogi,  
W słońcu rozbłyśnie wstęga drogi,  
I pieśń, jak płak, polecą w dal —  
O kraju mym!



Niechaj przyleci wieść przez mury i zasłony,  
 Czy w wielkanocną noc dzwoniły u nas dzwony,  
 Czy usta śmieją się, czy oczy wznoszą wzwyż,  
 Czy Zmartwychwstania moc zwycięża męki krzyż?  
 Niechaj przyleci wieść przez mury i zasłony...

Niechaj przyleci wieść, bracia i siostry miłe,  
 Czy darmo wróg gotował nam mogiłę,  
 Czy w sztandar nasz niepróżno wsiąkała krew,  
 Czy serca wciąż wolności słyszą zew?  
 Niechaj przyleci wieść, bracia i siostry miłe...

*Tłum. J. Bajkowska.*

#### WIEŚCI KRUKÓW

Co dnia lecą kruki, wrony,  
 Co dnia kraczą z każdej strony:  
 «Tam spalono,  
 Tam stracono,  
 Tam schwytano,  
 Tam zabrano,  
 Uwięziono,  
 Oślepiono  
 I cichaczem  
 Udużono...  
 Kra-kra-kra!

Po wsiach chłody,  
 Po wsiach głody...  
 Od chałupy do chałupy  
 Z popem śmierć gromadzi łupy:  
 Popa kieszeń pustką świeci,  
 Śmierć umiera: ciężkie sieci!...  
 Czart na skrzypcach ztyłu gra,  
 Depce trupy... kra-kra-kra!

Czegoż wy patrzycie? — płaczcie!»  
 — Kruki, wrony — o, nie kraccie...  
 Wszycyśmy tu głusi śnać...  
 «Jakżeż to się mogło stać?»

— Wilczem zielem nas upito,  
 W nasze uszy gwoździe wbito,  
 Potem wszystkim lby skrecono  
 I na wolność żyć puszczone.\*  
 Noc my prześpim, dzień przedyszym,  
 Wszystko widzimy, a nie słyszym  
 I nie zgadniemy lby strutemi,  
 Co też to na naszej ziemi —  
 I nie wiemy już — szaleńce —  
 Czyśmy wolni, czy też jeńce...

Nagle chmury wron wleciały,  
 Wrzasły, śmiechem zawrzęszczały...  
 «Kra-kra — wolni! kra — nie jeńce!  
 To szaleńce! to szaleńce!»

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### MYKOŁA FILAŃSKYJ

(ur. 1873)

#### O ŚWICIE

Ja w pierwszy świt przed wschodem słońca  
 Obaczę łono ziem do końca,  
 Nawiedzę gaj skroś ciszę niw  
 do wieczornych przylgnę iw.

I może, jeśli moc wyteżę —  
 Ich sen wieczorny przezwyjęzę,  
 A liść przesączy pośród skarg  
 Swe chłodne rosy do mych warg.

Nad gajem błysnie krąg świetlany,  
 Potoczy jaśń sennemi łany,  
 I będzie blask nadziemskich złud  
 Nad niemi płoń, lśnił, jak cud.

I będzie błyszczał skraj skrzydełek  
 Rój dyjamentów — z mgły perełek  
 Coraz to inna lot rozwinie  
 I w pocałunkach słońca ginie...

A we mnie żal ta chwila ziści,  
 Żem ja — nie rosą sennych liści,  
 Że z wiewem lotu nie rozwinę,  
 Że w pocałunkach — ja nie zginę...

## W ODWIECZERZ

I snię, i błogosławię wraz  
Wieczorny, cichy, lśniący czas,

Wieczornych niebios święty mszał,  
Przygrywkę serca, lutni szal —

Płomiennej gwiazdy tęskny zew  
Nad pysznem łonem barwnych drzew,

Ach, oby kiedyś wzrok mój zgaśł  
W wieczorny, cichy, jasny czas!...

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## SYDIR TWERDOCHLIB

(1886—1923)

## WSPÓLCZESNY TWÓRCA

Jak Dante — w bór wstępuje wilczy,  
Jak cień Chrystusów — w piekiel bramy.  
Na twarzy jego sen Gotamy,  
A Hioba skarga w piersi milczy.

Wciąż naprzód gna go przeznaczenie  
Zaklinać dolę po bezdrożach.  
I wciąż go mami w chmurach, w morzach,  
Za siódmą górą mgliste lśnienie...

Szum dni powszednich brzmi pogardą,  
Gdzie tylko stanie na rubieże —  
Lecz on swej arki dumnie strzeże,  
A w tłum doczesny wchodzi hardo.

Gdzie okiem rzuci — w węzowisko  
Skłębione ludy... Żądze płoną  
Za świecidelkiem nad koroną —  
Za skrytym grzechem — złota miska.

O, bądź przeklęty, gwarny świecie,  
Co już niczego się nie wstydzisz,  
Wydrwiwasz piekło, z bóstw swych szydzisz,  
Odbierasz cichy czar obieciel...

## CEDRY O ZACHODZIE SŁOŃCA

Zachodzi słońce. Cedry wzgórza  
Ze skał w wieczorną szumią dal;  
Na brzeg wynosi gniewna burza  
Korale z głębi fal...

Spojrzały cedry — nurty... morze...  
Korale wicher wzdłuż i wszecz  
Po górach rozsiał, po ugorze,  
Jak deszcze krwawych łez.

I słyszą, jak omdlałe w sile  
Odmęty cichną, kona szum —  
Hen rozsiał zachód na trzy mile  
Siew krwawych, krwawych dum...

## NOC POPIELCOWA

Oto noc popielcowa, licznych samotników  
Powiernica i wróżka, iszcząc kaprys chwili,  
Prowadzi dziś przez wnętrza biednych pokoików  
Korowód gejsz Nipponu i gitan Sewilli.

To znów im o nieznaną szepce Ulajali,  
Czczem widmem nudy dręczy, prawi o ich nędzy  
I wypędza nareszcie w sien balowej sali,  
Kędy stać będą cisi, nie mając pieniędzy.

Co chwila zajeżdżają pod dom kabriolety,  
Usłużnych samochodów turkot zadyszany  
Coraz to cudowniejsze wieści im kobiety,  
Nim wynurzą się bosko z gazy białej piany.

Lecz zwolna ich przygnębia smutek bolesciwy,  
Jakieś ulotne echo przedwiecznej przygody...  
Więc każdy z nich rozmyśla: «Czym jest król Niniwy?...  
Czym nie ja miał w prawiekach wiszące ogrody?

Gdzież są moje hurysy, moje odaliski  
I najczulsze kochanki królów — niewolnice?...  
I slaniając się, zwolna, łez rozpaczy bliski,  
Odchodzi w najciemniejsze ukryć się ulice.

Chmurnej nocy na losu żali się koleje,  
Nie bacząc, że do nitki wnet z jej łez przemoknie —  
A wkońcu postanawia badać własne dzieje  
W każdym niezasłoniętym parterowym oknie;

Wtenczas cichy samotnik, ze wzruszenia błądy,  
Po przymurkach się wspina ze zręcznością kocia  
I, drżąc, śledzi przez szyby nagi bezwstyd zdrady  
Tej, co ją żoną króla zwał przed wieków krocia...

Jedyną jest mu ulgą, kiedy się wydarzy,  
Że ujrzy dręczonego pastwą jej okrutną  
Sobowtóra — jednego z wygnanych mocarzy...  
I wtedy mu współczuje, i jest mu mniej smutno.

(Tłumaczenie autora.)

## PAWŁO TYCZYNA

(ur. 1891)

### TAM NA POLU...

Tam na polu wysmukłe topole  
(Na zachodzie ofiarny drży stos).  
Z bujnym wichrem, swawolnym i dzikim,  
Rwą się, prężą ramiona me wdal...

Kłosi wicher zagony nad szlakiem  
(Hej, tam chmura z południa i grom).  
Kłos zawodzi daleko i cicho —  
Jakby ptaków trzepotał się lęk...

Idę w przestrzeń pochmurny i trwożny  
(Gaśnie dzień, roni płaty, jak mak).  
W mojej piersi orkany bezdrożne —  
I bandury skarżący się szloch...

Rozżagwiona ma pieśń i szalona  
(Pali niebo i nieci swój dreszcz).  
O, rozperlij się w jasne akordy,  
O, rozslochaj — i ścichnij, jak deszcz...

### NIE PATRZ NA MNIE TAK...

Nie patrz na mnie tak łaskawie,  
Tak kwietniowo-lzawie.  
Żreją zorze, jak pszenica:  
Przyjdzie ma tęsknica.

Nie pieść mnie tak jedwabście,  
Sokolnie — złościście.  
Kwitną róże miodne, chłodne —  
Przyjdą dnie pogodne.

uż od wschodu wiatry wieją —  
Znów się lzy poleją!  
Wstali mama, tato, słonko:  
Kędyż jaskółczątko?

A ja tutaj na ławeczce,  
Kwiatki do mnie szepcą...  
Co odpowiem im? — Nie skłamię:  
Tak — kwietniowo prawie...

## NAD ZIEŁONYM JAREM...

Nad zielonym jarem —  
Gdzieś za rzeką dzwonią:  
Czekam skrzydeł wiatru —  
Cień mój tonie, ginie gdzieś...

Wierzę wszystkim dalom —  
Gdzieś za rzeką dzwonią:  
Włosy twe mnie palą —  
Cień mój tonie, ginie gdzieś...

Wypływają chmury —  
Żal jak kłos pęcznieje:  
Od chmur woda szara —  
Oszaleję — czekam cię...

Przyplyniesz, odpłyniesz —  
Żal jak kłos pęcznieje:  
Słońce się odmienia! —  
Oszaleję — czekam cię...

## PO BŁĘKITNYM STEPIE...

Po błękitnym stepie  
Czarny wichr!  
Świat ogarnął ślepy —  
Czarny wichr...

Spojrzy słońce w pola szare,  
W siole głód!  
Chodzą matki, niby mary —  
Czarny wichr...

Poszłam kosić łąkę młodą.  
Chmura — grom!  
Oj, nie wrócą z wojny do dom —  
Czarny wichr...

Na obczyźnie gdzieś na wojnie  
Bez krzyża; kruk...  
Przeklinam was... i wojnę! —  
Czarny wichr...

## I ZA SIOŁEM...

I za siołem tem —  
wszystkich rozstrzelali,  
mundury zrywali,  
głowy odsiekali,  
bili czołem im.

Przyszła zima znów! —  
teraz już swoboda,  
ziemia ciepła, młoda,  
cichy grób — wygoda,  
ale niema głów.

Gdy noc pada z nóg —  
ze światłami chodzą,  
śpiewy w krąg zawodzą,  
szukają, znachodzą  
zagrzebany pług.

## MADONNO MOJA

Już sławią, śpiewają  
imię — nowinę.  
(Ave, Maryjo,  
moja Kalino!)

Na biodrach, jak strunach,  
ręka spoczywa.  
Witaj, dziewczyno, —  
czyjaś ty, czyja?

Idę i śmieję się:  
życiem raduję!  
Słońce na skrzypcach gra,  
chmurki tańczują.

Powiem — nie powiem ci:  
wszystkich i twoja...  
(Ave, Maryjo,  
Kalino moja!)

## WOJNA

## I.

Zasypiam. Sen:  
 Trzej anieli u mego wezglowia.  
 Anioł pierwszy wzrokiem wszechogarnia.  
 Anioł drugi sluchem wszechprzeczuwa.  
 Anioł trzeci mądrość wszechposiada.  
 I śni mi się dziwnie  
 Mój syn.  
 Walczy samotny. Pierś swą od ciosów osłania.  
 Osaczon w krąg. Okrwawion się slania.  
 (Anioł pierwszy oblicze zastania.)  
 I jakby wielka oddal i zielona łąka.  
 «Zegnajcie, matko!» — głos w wichrze się błąka.  
 (Anioł drugi krzyż ku mnie wyciąga.)  
 A wichler niesie: «Nie płaczcie, matko, nie zginę,  
 Gdy w boju legnę za Ukrainę!»  
 (Anioł trzeci gra słodką nowinę.)  
 I śni mi się dalej  
 Mój syn.

## II.

Słońce — na prawo.  
 Miesiąc — na lewo.  
 Jutrzenka w oczy spogląda.  
 — Błogosławię cię, synu, na wroga.  
 A on: «O, matko droga —  
 «Nie znalazłem-ci ja wroga  
 «I nie znam.  
 «Nasz wróg jedyny bliski —  
 «To nasze serce.  
 «Błogosław, matko, abym posiadał męstwo,  
 «Znalazł lek-ziele na ludzkie szaleństwo».  
 — Wyciągam dłonie do krzyża —  
 Wokoło pustka i cisza.  
 Kruk czarny jeno: kral kra!...  
 Słońce — na prawo.  
 Miesiąc — na lewo.  
 Jutrzenka w oczy spogląda.

*Tłum. Juljan Wołoszynowski.*

## MAKSYM RYLŃSKYJ

(ur. 1895)

## TAK, MYŚMY PROLOG...

*«Prolog — nie epilog»  
 (I. Franko)*

Tak, myśmy prolog. Wasi są królowie  
 I szubienice, i kościelne dzwony —  
 Nas tylko wczoraj z gliny ulepiono,  
 I naród nasz — jak ongiś pierwszy człowiek.

Myśmy nie byli nigdy jeszcze sobą,  
 Nasz okręt nigdy wielkich wód nie krajął,

Nas nie nęciły nigdy obce kraje  
 Nieznanych kwiatów wonią i ozdobą.

Nikt z nas imienia swego nie posiada,  
 Nikt z nas języka ani woli nie ma,  
 My — śliska mgła, my — woda zimna, niema,  
 My — niewidzialna ludziom widm gromada.

I nagle — krew zawrzała w naszych żyłach,  
 Radośnie ciało ze snu się rozkurcza —  
 Na chmurnem czole myśl załśniła twórcza  
 I martwą ciemność cudem ożywiła

Narody, państwa! Dźwięczne, morskie fale  
 Dni i pokoleń! Głos usłyszcie niemych:  
 Wasza jest przeszłość — przyszłość zdobędziemy!  
 Dla was jest ziemia, dla nas — bezkres dali!

*Tłum. Eugenjusz Żytomirski.*

## EWHEN MAŁANIUK

(ur. 1897)

### Z CYKLU «WAREGI»

Oto ich trzech: surowy Ruryk,  
 Syneus, wesół blaskiem chwał,  
 A trzeci Truwor, bard wichury,  
 Co Rusi śpiewne skrzydła dał.

Jak stworzyć mężów z niewolników,  
 Żelazo z ziemi wyrwać wewnątrz?—  
 I chmurny Ruryk rabom wykuł  
 Miecz wielki, lśniący w blasku tęcz...

Jeden — ataman, budowniczy,  
 W drugim jest mroźna radość dni,  
 A ostatniemu blaskiem zniczy  
 Twarz palająca krwawo lśni...

Jak pełnać ich wdał, na mórz obszary,  
 Jakże nauczyć głębie pruć? —  
 Za plemion mnogość, stepów czary  
 Syneus smolną dał im łódź.

A wokół... Greci to czy Scyty,  
 Z bizanckich krańców ludzki pył —  
 Jakże w nich nieba tenąć błękity,  
 By im Dażbohem Odyn był?...

Jak przerwać dusz ich sen zakłęty,  
 Jak ogień życia wlać do żył? —  
 Rozżarzył Truwor płomień święty  
 I sztandar chwały w ziemię wbił.

*Tłum. Konstanty Symonolewicz, jun.*

### WARSZAWA

Wpatrujesz się chmurnie, spiżowo  
 Ponad piętra i ludzi, i twarze,  
 Grzmi pod tobą, dygocąc miarowo,  
 Stolica w burzliwym rozgwarze.

Wdali mewy wiślane krzyczą,  
 Fala brzegi piaszczyste liże,  
 Czarne miasto twoje, Mickiewiczu,  
 Eurazyjskim jest dla mnie Paryżem.

Szumią głuche preludja jesieni,  
 Dyryguje Chopin listopadem.  
 Ludzie tutaj — tacy spóźnieni,  
 Władza tutaj — z legendarnym czadem.

W mgłach wyspiańskich Belweder, owiany  
Petersburskim tumanem mrocznym.  
W sennych oknach — czy to płomień, czy plamy?  
Szare widmo — uroczyste czy uroczne?

I kiedy gałęzie zaskrzypią,  
I wschód zionie ziębiącym nordem,  
Wicher liśćmi Aleje zasypie,  
Bruk wyściele mongolskim hordom.

Leci, leci ordzewa liściasta,  
Tatarskiemi się kładzie kilimami.  
Pilnuj, pilnuj swojego miasta,  
Wartownika spiżowy, Adamie!

*Tłum. Juljan Tuwin.*

---

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*